

NIESPOKOJNE SERCE – II CZĘŚĆ

O. Kornelian Dende

5 lutego 1984 r.

Witam Was Zacni Rodacy i Mile Rodaczki staropolskim: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

W poprzednim programie podzieliłem się z Wami wyznaniem dwudziestoletniej studentki sowieckiej z Moskwy. Mówiła w nich o religijnym wpływie pobożnej babci na swe dzieciństwo, a potem o pewnym zdarzeniu ewangelicznym, które uznała za światło przewodnie jej życia, z kolei zaś o swym wewnętrznym rozbiciu, o manowcach błędu i grzechu, na których jak się jej zdawało, może być szczęśliwa bez Boga. Świadcząc, że podświadomie zawsze tęskniła do Boga, popadła jednak w rozterkę ducha i wybrała sztukę za swego bożka, którą nazwała szczytem swych marzeń, Olimpem. Dalszy ciąg jej wyznań opatruję tym samym tytułem: „Niespokojne serce” (Wspomnienia dwudziestoletniej studentki z Moskwy. Część II)

Od świecy do świecy

Gdy byłem już w połowie drogi do mojego Olimpu, zdarzyło mi się dziwne spotkanie... Pewnego dnia w cerkwi blisko mojego miejsca pracy podeszła do mnie pod koniec nabożeństwa jakaś kobieta, jedna z tych, które kiedyś nazywano natchnionymi, a obecnie przyglupkami i żebrakami. Dziękowała mi, nie przypominam sobie już za co, a potem powiedziała: „Człowiek wędruje w ciemnościach i męczy się. Ale dostrzega w dali płomyk świecy i idzie w tym kierunku. Świeca gaśnie, ale zapala się inna i znów idzie za nią. I tak w swym życiu człowiek idzie od świecy do świecy, dopóki nie zjawi się prawdziwe światło”. Mówiła to wszystko wpatrując się w coś poprzez moją osobę, jakby nie istniała. A potem oprzytomniała i dodała patrząc mi w oczy: „Tak też będzie i z tobą”.

Odeszła, zostawiając we mnie niepokój i zakłopotanie. Lecz dosyć szybko przestałam się przejmować tym faktem. Bo i czymże się martwić, jeśli miałam światło sztuki tuż w zasięgu ręki.

Tego samego roku zaczęłam uczęszczać na uniwersytet, dostałam lepszą pracę i spotkałam mężczyznę, który zaćmiewał wszystkich dotąd mi znanych. Nareszcie moje życie znalazło solidne podstawy; po długim brodzeniu w wodzie moje nogi stanęły na twardym gruncie: teraz należało tylko studiować i pracować uczciwie. Rodzice byli zadowoleni, znajomi mi zazdrościli, ja zaś byłam spokojna. W dwudziestym roku życia miałam wszystko, czego może pragnąć człowiek naszej epoki.

Spokojna i basta! Ale dlaczego nie jestem szczęśliwa? Spokój i sytość nie są jeszcze szczęściem. Światło sztuki, które mnie pociągnęło wydawało mi się słabsze od światła kieszonkowej latarki. Niezadowolone i tęsknoty zawładnęły mną. „Ależ tego już za wiele” – wzruszały ramionami moje przyjaciółki. „Przejdzie jej” – przewidywali przyjaciele. Rodzice zaś mówili: „jesteś wyczerpana”.

Poczucie pustki duchowej

Dla mnie lot był skończony. Razem z nim w dwudziestym roku życia kończyło się życie. Nie trzeba już biec w górę po schodach przeskakując stopnie z pośpiechem, jakby coś się ścigało. Nie trzeba szybować ku chmurom w pogoni za marzeniami...

Dalsze życie wyobrażałam sobie następująco: dom, praca, dyplom, wreszcie inny dom, studia uzupełniające, no i dość szybko dzieci. Tak jak wszyscy... Nie miałam dość talentu, by stać się nowym Van Goghciem czy Rembrantem. I po sześciu latach bardzo interesujących studiów nie posłał mnie do Luwru, ani do innego znanego muzeum. Zresztą cóż za różnica, czy odkurza się obrazy w tym czy innym miejscu? W Paryżu czy w Nowym Jorku? Nawet nie chodzi o fakt, czy ktoś ma więcej czy mniej talentu ode mnie; ja po prostu nie mam niczego, co bym mogła dać ludziom. By dawać, trzeba coś mieć, a w mojej duszy jest pustka. W dwudziestym roku, wszystko co było piękne i drogie stało się dla mnie przeszłością. Nie miałam już przyszłości.

Wspinałam się na Olimp, a wylądowałam w ślepym zaułku. Jeszcze jedna prawda, która mi stanęła przed oczyma w tym okresie, pogorszyła moją katastrofalną sytuację. Zrozumiałam, że sztuka sama w sobie jest niczym, nie może ocalić nikogo, lecz jest tylko sposobem wyrażania czegoś wyższego. Jest środkiem, przez który objawia się Prawda. Jest skutkiem, lecz gdzie jest przyczyna? Nie można zrozumieć tego, co stworzone i zasmakować w nim bez poznania Twórcy. W tym okresie szczególnie fascynowała mnie sztuka religijna. Rozumiałam przy tym, że wszelka sztuka jest religijna, o ile jest prawdziwa.

Porażka w miłości i myśl o samobójstwie

W tym czasie skończyła się moja miłość. Zresztą dopiero teraz mogę powiedzieć, choć to bardzo boli, że był to tylko surogat, mizerna imitacja tego pięknego i wzniosłego uczucia, jakim jest miłość. Nigdy Cię nie przeproszę wystarczająco. Boże roztrwoiłam największy skarb darowany każdemu człowiekowi, skarb miłości. Ludzie przywykli traktować życie konsumpcyjnie; w podobny sposób traktują samych siebie i bliźnich. Gdy chcesz dać mężczyźnie duszę i ciało, okazuje się, że interesuje go tylko to drugie. Dusza ma coraz mniejszą wartość, jak stara wytarta skóra.

Pan nie pozwolił mi, bym się z tym wszystkim pogodziła. Była jesień na ulicach i w mojej duszy. Wydawało mi się, że wszystko skończone. Koniec istnienia nie był dla mnie jakimś szczególnym objawieniem. Mówi się, że myśli o śmierci bardziej niepokoją w siedemnastym niż w siedemdziesiątym roku życia. Dla mnie śmierć stała się czymś realnym. Każdy swój dzień odczuwałam, jako krok ku śmierci. Życie wydawało mi się drogą wiodącą na szubienicę.

W kręgu moich znajomych był modny dekadentyzm schyłku XIX wieku, czyli upadek wartości moralnych, estetycznych. W pewnym sensie nawet obowiązywał, ponieważ sądzono że mówienie o śmierci jest rzeczą fascynującą, a poetów i artystów samobójców uważano za bożyszcza. I ja przez pewien czas mniemałam, że jestem dotknięta tą chorobą „nadludzi”, rozpowszechnioną na uniwersytecie. Jeszcze gorszą rzeczą była nieszczerłość i fikcja, przez które ci młodzi wyobcowywali się od świata. Początkowo i ja byłam jedną z nich. Rozczarowanie i sceptycyzm na tle pięknej muzyki i zaraz po tym rozmowy o Bogu, Wieczności i Pięknie.

Lecz szybko rozumiałam, że moja pozycja „twarzą w twarz ze śmiercią” wychodziła poza granice pięknej gry. Czułam coraz bardziej ostro bezużyteczność i fałsz swego pobytu na ziemi, a jednocześnie lęk, że wszystko mogłoby się skończyć. Tak szybko! Jednak myśl o samobójstwie budziła we mnie odrazę, być może dlatego, że tak zbanalizowana przez modę. Ale przede wszystkim strzegł mnie Pan.

Postanowienie poprawy

Gdy jeszcze bardziej zbliżałam się w swych myślach do śmierci, przestała budzić ona we mnie lęk. Niespodziewanie rozumiałam, że najgorszy jest moment, w którym nie można już nic dodać ani odjąć od życia, w którym nie można zawrócić, poprawić się, zmienić coś, przeprosić kogoś. I czułam ponadto, nie wiem jak i dlaczego, że ze śmiercią nie kończy się wszystko, że „ta i tamta strona” są wzajemnie powiązane, i że na tym polega sens życia; i dalej że nie mogłam, nie miałam prawa żyć jak dotychczas żyłam. Nie śmierć mnie przerażała, ale życie; życie bez sensu, bezużyteczne. Było tak, jakbym się obudziła z letargu. Pewnego dnia zdecydowałam, że wszystko musi się zmienić.

Stosownie do tych możliwości ograniczyłam do minimum moje życie: praca, studium i tylko najbliżsi przyjaciele. Zdaniem moich znajomych była to prawdziwa pustynia. Pociągało mnie coraz bardziej doświadczenie życia Chrystusowego. Ale zajmując się długi czas histerią, pojmowałam chrystianizm, jako wydarzenie przeszłości. Echo zmian religijnych, związanych z soborem, które dochodziło do mnie przez radio, wydawało mi się mało przekonujące. Także przykład wierzących, których znałam, niezbyt mnie przekonywał. Nigdzie, na żadnym miejscu nie spotkałam żywej wiary. Uważałam się nawet w pewnym sensie za chrześcijankę, ale nie miałam w sobie miłości. Kościoły i obrazy były dla mnie sztuką martwą, która budziła we mnie uczucia estetyczne, ale nie religijne – podobnie jak muzyka, filozofia i literatura.

Interesowały mnie także religie Wschodu, jednak i one niewiele mogły mi dać. Pojawiły się wątpliwości: może na nowo gonię za majakami? Może znów wylądowałam w ślepym zaułku? ... Wszyscy w coś wierzą, każdy ma swego Boga, a ja – nie. Może dlatego, że coś takiego nie istnieje? Cierpiałam i bardzo się tego bałam.

Świadectwo wiary

„Gdzie jesteś, Boże? Już do dwudziestu lat Cię szukam i nie znajduję”! I usłyszałam w swym sercu: „A ja od dwudziestu lat jestem za Tobą”. Usłyszałam to, gdy spotkałam osoby, które miały stać się moimi braćmi i siostrami. Spotkanie z nimi początkowo nie różniło się od tylu innych faktów z mojego życia. Oni nie mówili mi nic szczególnie nowego, ale dawali mi świadectwo żywej wiary i to była odpowiedź Pana na moje poszukiwania.

Przybyłam do Ciebie, Panie, idąc przez całe życie od świecy do świecy, a Ty mnie przyjąłeś, wybaczyłeś i dałeś udział w swej Komunii. Pamiętam szczęście swej pierwszej Komunii Świętej uczucie lekkości po spowiedzi generalnej i wielką radość poranku wielkanocnego.

Może komuś będzie się wydawało, że osiągnęłam już cel, że długa i żmudna droga skończona. O nie, mylicie się! Droga do Niego, do mego Zbawiciela, Światłości i żaru Jego Miłości zaledwie się rozpoczęła. Jeszcze przed rokiem wszystko to wydawałoby mi się dziwne i niemożliwe. Lecz Ty jesteś Panem rzeczy niemożliwych; doświadczyłam tego w tym okresie wiele razy. Podczas tego roku były wątpliwości, upadki i wzloty, ale Ty zawsze przychodziłeś mi z pomocą.

Pamiętam, że w ostatniej minucie przed spowiedzią opanował mnie nagle lęk, że Ty nigdy mi nie wybacysz wszystkich moich przewinień. Zaczęłam wątpić, czy będę mogła oczyścić się z grzechów, które zabrudziły mi dusze i ręce i, czy będę mogła godnie przystąpić do Komunii. Ale jedna z siostr stworzyła mi Ewangelię na chybił trafił. Przeczytałam i zostałam wstrząśnięta: to był epizod z Chrystusem i jawnogrzesznicą; ten sam, który tak mnie uderzył w dzieciństwie. To była Twoja odpowiedź, Panie, i moje wątpliwości zniknęły. Chrystus i grzesznica, to jakby Ty i ja, i Ty mówisz: „Idź i nie grzesz więcej”! I już bez trudu wyznałam księdzu wszystko to, co Ty mi wybaczyłeś.

I jeszcze jeden epizod, gdy na nowo zwątpiłam, czy Ty mnie wezwałeś. Nie znałam do głębi życia moich nowych braci i siostr i dlatego wydawało mi się, że zawsze należeli do Ciebie, że byli czysti, bez grzechu, byli z innego ciasta, i że dzieliła nas przepaść. A ja byłam tak pełna grzechów i brudu i cóż będę mogła zrobić? Zaledwie nauczyłam się trochę modlić, czułam żal, lecz płakałam, że nie mogę stać się taką jak oni, że moim przeznaczeniem miał być świat grzechu.

„Boże ześlij mi kogoś, kto mógłby mi pomóc”! Znajdowałam się w cerkwi na nabożeństwie i niespodziewanie spostrzegłam obok siebie pewną dziewczynę, z którą kiedyś pracowałam, i z którą zawarłam przyjaźń. Ty wezwałeś ją, Boże, i ona zmieniła się dzięki Twojej miłości: to znaczy, że i ze mną może stać się to samo. W ten sposób podtrzymałeś mnie, Panie i tak było za każdym razem.

Wiele rzeczy zdarzyło się w moim krótkim jeszcze istnieniu, lecz najważniejszą jesteś dla mnie Ty, Jezu, Twoja Miłość i Twoja Radość. Jedyna rzecz, której pragnę, to by wszyscy posiadli tę Miłość i tę Radość. I jeśli będę mogła zrobić coś dla tego celu, będzie to odpowiedź na Twą miłość, Boże.

(Ks. Klimaszewski S., MIC: Chrystus w moim życiu. S. 50).